

UWAGA: Klikając w # po prawej na dole powiększysz obraz na całą stronę. „+” lub „-” zmieni jego wielkość.

Toruń...



Toruń, moją rodzinę i miejsce pracy, czyli UMK, opuściłem w maju 1982 r. z paszportem i zaproszeniem na rzekomą konferencję historyczną w Monachium, dotyczącą zbrodniczej działalności gestapo w Polsce. Wszystko zorganizowali moi przyjaciele z tego miasta, gdzie rok wcześniej przebywałem na stypendium F. Eberta. Do spisku wciągnęli oni pracownicę naukową z Institut für Zeitgeschichte, panią dr Hildegard von Kotze, która wzięła na siebie spreparowanie programu i imiennego zaproszenia na moje nazwisko, z prośbą o wygłoszenie referatu. No i oczywiście wysłanie tego wszystkiego na UMK. Zapewne w toruńskim SB trwała uporczywa narada, czy pozwolić mi na opuszczenie PRL. Na mistyfikacji się tam najwyraźniej się nie poznali. Zakaz wysłania polskiego naukowca na naukową debatę, dotyczącą hitlerowskich przestępstw, spowodowałaby z pewnością fatalne dla reżimu Jaruzelskiego komentarze na Zachodzie. Takim argumentom nawet SB nie potrafiła się przeciwstawić. Tak to sobie tłumaczyłem. W każdym razie, niemal w ostatniej chwili i po „rozmowie” z milicyjnym urzędnikiem Wydziału Paszportów (z pewnością esbekiem) przeszkody formalne prawie wówczas nie do pokonania, zostały pokonane. Wyjechałem, choć jeszcze dwa tygodnie wcześniej, perspektywa wydanie mi paszportu omal nie została unicestwiona. Bo tylko przypadkowi można zawdzięczać, że nie zostałem zatrzymany podczas protestów 3-majowych na toruńskich bulwarach, ze skutkami, które łatwo przewidzieć. Tak więc opuściłem PRL (jak się okazało na zawsze) po 5 miesiącach stanu wojennego i wcześniejszych 16-tu „solidarnościowych”. I jeszcze wcześniejszych ponad 10 latach pracy naukowej i dydaktycznej w Instytucie Historii i Archiwistyki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, jako asystent, starszy asystent, wreszcie adiunkt w Zakładzie Historii Polski i Powszechnej XIX i XX wieku z prof. Witoldem Łukaszewiczem na czele.

Pracę rozpocząłem tam 1 października 1969 r. Czy zasłużyłem na czekającą mnie „karierę naukową” – sam nie wiem? Zapewne znów, jak to zwykle bywało w moim życiu, dopomógł przypadek. Prof. Łukaszewicz, aktualnie też rektor UMK zdołał, podobno z trudem i wbrew protestom wielu członków ówczesnej Rady Wydziału Humanistycznego, wywalczyć nowy etat dla kierowanego przez siebie Zakładu. Był przecież obok swojej wiodącej funkcji na Uczelni także posłem na sejm PRL. Bardzo liczono się z nim w gremiach partyjnych miasta i województwa. Protesty więc ucichły, przynajmniej do czasu gdy ogłosił, że to właśnie moją skromną osobę zamierza obdarzyć owym etatem. Wydawało się to logicznym wyborem ponieważ znajdowałem się wśród jego seminarzystów, a moja praca magisterska pt. „Polskie duchowieństwo w niemieckich obozach koncentracyjnych” została bardzo dobrze oceniona. To mnie także udało się najlepiej ze wszystkich jego aktualnych uczniów zdać decydujący egzamin. Samokrytycznie muszę jednak stwierdzić, że gdy dzisiaj przeglądam swój studencki indeks, najwyższe oceny, zwłaszcza w pierwszych latach studiów, bynajmniej w nim nie dominowały. Protesty więc znów się nasiliły, najmocniej wśród tej profesury, która zapamiętała mnie podczas prowadzonych przez siebie zajęć raczej jako przeciętnego studenta, niekoniecznie zapowiadającego się jako przyszły uczony. Ale gdy „nauka” stała się moim zawodem i to w obszarach dziejów najnowszych, które zawsze najbardziej mnie interesowały, nieskromnie mogę stwierdzić, że stanąłem na wysokości zadania. Zamierzałem pokazać wszystkim wąpiącym we mnie moim (teraz) współpracownikom, że już wkrótce osiągnę zaskakujące ich wyniki Nie chciałem zresztą odchodzić od problematyki lat II wojny światowej i hitlerowskiej okupacji. Była „bezpieczna” politycznie i pozwalała na komfort obiektywnych badań, bez obawy podejmowania niegodnych



historyka-naukowca – kompromisów z cenzurą, pilnującą ideowych pryncypiów panującego w PRL systemie. Prowadziłem też , przynoszące mi dużo satysfakcji, zajęcia dydaktyczne ze studentami; ćwiczenia z wykładów prof. Łukaszewicza (po jego śmierci prof. Karola Grünberga, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem) dla V Roku. Wspecjalizowałem się też w naukach pomocniczych do badań historycznych nad dziejami najnowszymi. Ze studentami, wówczas niemal moimi rówieśnikami, miałem wspaniały kontakt. Odnoszę wrażenie, że mnie ceniono i lubiono.

Tematem pracy doktorskiej, po licznych konsultacjach i radach starszych kolegów (m.in. dzisiaj prof. Jana Szilinga) była szeroko rozumiana hitlerowska polityka na ziemiach polskich włączonych w 1939 r. do prowincji Prusy Wschodnie. Chodziło o tzw. „rejencję ciechanowską” („Regierungsbezirk Zichenau“), która stanowiła „białą plamę” w historiografii dotyczącej lat okupacji.

Mój początkowy entuzjazm i zapał powoli stygł, gdy okazało się, że dokumentacji z działalności niemieckich władz administracyjnych i policyjnych z tamtego terenu nie można nigdzie odszukać. Ani w polskich państwowych archiwach lokalnych, ani w Republice Federalnej Niemiec. Nie było ich też tam, gdzie najbardziej na to liczyłem – czyli wśród zbiorów „Główniej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskiej” (GKBZH). Instytucja ta, odpowiadająca dzisiejszemu IPN-owi, dokumentowała zbrodnie hitlerowskie w Polsce (sowieckich w czasach PRL się nie badało), poszukiwała wykonawców i oczywiście przygotowywała materiał dowodowy na procesy przeciwko byłym nazistom, oskarżanym o przestępstwa wojenne. Większość zatem akt władz okupacyjnych, zamiast w tzw. archiwach państwowych, łądowała właśnie w GKBZH. Nie tak łatwo było tam cokolwiek znaleźć.

Po wielu miesiącach uporczywych poszukiwań uzyskałem pewność, że tych z ziem ówczesnej „rejencji ciechanowskiej” tam po prostu nie ma. Inaczej mówiąc moje dotychczasowe już niemal dwuletnie wysiłki były zmarnowane i coraz bardziej realnie myślałem nad zmianą tematu. I znów przedziwny zbieg okoliczności miał przywrócić wiarę, że temat mojej rozprawy doktorskiej nie zostanie zmieniony. Otóż wracając kiedyś pociągami z Warszawy, gdzie znajdowały się archiwa GKBZH, spotkałem swojego dawno niewidzianego kolegę ze studiów. Wyznał mi w tajemnicy, że pracuje w tajnym archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mieszającym się w podziemiach na ul. Rakowieckiej w Warszawie. Ja opowiedziałem mu ze swojej strony o bezowocnych poszukiwaniach hitlerowskiej dokumentacji z rejencji ciechanowskiej. I pewnie w pełnej nieświadomości dojechałbym do Torunia, gdybym w pewnym momencie nie użył w naszej rozmowie niemieckiej nazwy: „Regierungsbezirk Zichenau”. Nazwa „Zichenau” nie była mu obca. Jak mi spontanicznie a nieroztropnie wyznał, doskonale pamięta stojące w „jego” archiwum na półkach dziesiątki grubych teczek z napisem na grzbietach „Akta Gestapo-Zichenau”. Ale i tak nikt tam ciebie nie wpuści! – zakończył. Gdy nazajutrz opowiedziałem o tym prof. Łukaszewiczowi, przyjaźniącemu się z aktualnym szefem resortu bezpieczeństwa, Franciszkiem Szlachcicem, najpierw się zdziwił, a zaraz potem obiecał pomóc.

Pewnie nie przesadzał z tą przyjaźnią, skoro po kilku dniach miałem już w rękach pismenną zgodę do korzystania ze zbiorów na Rakowieckiej. Już jednak moja pierwsza tam wizyta pozbawiła mnie złudzeń, że najtrudniejszą część badań, czyli dostęp do źródeł, mam za sobą. Nie było mowy o dostarczeniu mi „inwentarzy”, o samych aktach nie mówiąc. Przynoszono mi pojedyncze dokumenty, na ogół bez wartości dla mojej rozprawy. Wówczas właśnie nastąpił kolejny niespodziewany zwrot akcji. W podziemnej „palarni”, gdzie od czasu do czasu chodziłem na papierosa, natknąłem się na bardzo ładną, młodą dziewczynę, studentkę, dorabiającą tam przy porządkowaniu akt (jej wuj był kierownikiem archiwum). To był jedyny w moim życiu pozytywny skutek tego nałogu. Ale wracam do „meritum”. Zaprzyjaźniliśmy się i wspólnie uknuli dość niebezpieczny (zwłaszcza dla niej) spiszek. Potajemnie przynosiła mi kolejneteczki interesującego mnie Zespołu do małego pomieszczenia w szatni, gdzie



niepokojony, choć mocno zestresowany, systematycznie je przeglądałem, pracowicie robiąc notatki (gdybym wówczas miał tak łatwo dostępne dzisiaj sprzęty, jak aparat cyfrowy, czy mały scanner!!!). Niemal po roku w jednej z teczek natknąłem się na notatkę z pieczęcią prokuratora GKBZH, Jerzego Sawickiego z 1964 r.: „dot. zapytań Sądu Okręgowego w Ludwigsburgu w sprawie byłego szefa gestapo w rejencji ciechanowskiej, Hermanna Schapera w Düsseldorfie”. I dalej wyjaśnienie: „akta zawierają informacje mogące zostać wykorzystane do wrogiej antypolskiej propagandy na Zachodzie – nie wydawać! Teczki (w liczbie 96) utajnić!”. Nie bardzo wiedziałem o co chodzi. Co było takiego niebezpiecznego dla „wizerunku” Polski? Wówczas ważne dla mnie było to, że przez niemal trzy lata z pozytywnym skutkiem udało mi się wyciągnąć chyba wszystko co najważniejsze i co dotyczyło okupacyjnej polityki w rejencji ciechanowskiej. Opuszczałem jedynie te teczki, które odnosiły się do działalności Schapera, jako szefa grupy operacyjnej SS i Policji, działającej latem 1941 r. w okolicach Białegostoku, na zajmowanych przez Wehrmacht obszarach ówczesnego ZSRR. Dopiero wiele lat później, po opublikowaniu książki Jana Grossa, Sąsiedzi, skojarzyłem o co chodziło prokuratorowi Sawickiemu. Najwyraźniej bał się, że znajdujące się w teczkach „Gestapo Zichenau” wiadomości o zbrodni polskich mieszkańców miasteczka Jedwabne na miejscowej ludności żydowskiej z lipca 1941 r. zostaną upublicznione. Lepiej było odstąpić od ścigania hitlerowskiego zbrodniarza niż narazić na szwank obraz polskiego społeczeństwa.

Oczywiście dotarłem do wielu innych jeszcze źródeł, na tyle licznych, że mogłem przystąpić do pisania swojej doktorskiej dysertacji. Obroniłem ją i zdałem stosowne egzaminy 30 czerwca 1976 r. Jako doktor nauk humanistycznych, w październiku otrzymałem stanowisko adiunkta i mogłem zabrać się do pracy habilitacyjnej, nie zmieniając głównego kierunku moich zainteresowań. Temat ten brzmiał: „Ziemie polskie w planach Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (Reichssicherheitshauptamt - RSHA). Tutaj nie było już problemów z brakiem dokumentacji. Był inny: mianowicie większość zespołów akt znajdowała się w ówczesnej Republice Federalnej Niemiec. W 1980 r. przez kilka miesięcy pracowicie wertowałem tamtejsze archiwa dzięki stypendium Fundacji Eberta. Ale nie był to dobry czas na zamknięcie się w czytelnich. Trwał gorący okres konfrontacji między ogólnonarodowym ruchem „Solidarności” a komunistyczną władzą. Nie można było stać „z boku”.

Zaangażowałem się w ideę napisania niezależnego podręcznika historii. Ale okres „solidarnościowych wolności” skończył się 13 grudnia 1981 r. Swojej „habilitacji” nie udało mi się skończyć. Także podręcznika. Ale w tym ostatnim wypadku, było to tylko przesunięcie w czasie. Już na „emigracji” mimo tysiąca innych prac i angażujących mnie tematów, starałem się ten pomysł jednak zrealizować. Rękopis pierwszego wydania dostarczyłem do Polski w początkach 1987 r. Równocześnie do prac nad jego wydaniem przystąpiło emigracyjne wydawnictwo Editions "Spotkania", kierowane w Paryżu przez Piotra Jeglińskiego. Zaś w 1989 r., gdy padł komunizm w Polsce i zniknęła cenzura, książka ta pojawiła się „legalnie” w polskich księgarniach. Wyrzucane do przysłowiowego kosza dotychczasowe zafałszowane podręczniki do historii, mogły być niemal natychmiast zastąpione. Była to i jest dla mnie ogromna satysfakcja. To z książki mojego autorstwa uczyło się historii nowe, pokomunistyczne pokolenie Polaków. Nosi ona tytuł: „*Polska i świat w XX wieku*”.